



NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4.25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop.
z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8.50 Mrk. — 2 Rbs.
60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. —
7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej
stronie lub w miejscu specjalnie zastrzeżonym 28 halerzy.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: **KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII.

Kraków, 24 kwietnia 1915.

Nr. 17.

Walka o Konstantynopol.

(Treść na
str. 2).



Atak wojsk tureckich.

Treść numeru: Na terenie Królestwa Polskiego. — W Karpatach. — Z życia polskich uchodźców. — Koncert polski w Pradze. — Z teatru wojny i t. d.

Walka o Konstantynopol.

(Do ilustracji tytułowej).

Gdy ziemie polskie stały się obecnie terenem najzaciętszych walk, na którym też niewątpliwie rozstrzygną się losy całej wojny, najdrażliwszym

cuska, zgromadzona przed cieśniną, reprezentowała tak pod względem liczby statków, jak i ciężkiej artylerii, siłę potężną. Pierwsze jej ataki na forty zewnętrzne, oraz kilka wewnętrznych, nie pozostały bez skutku, lecz okupiono to znacznymi stratami. Głównodowodzący flotą sprzymierzoną admirał angielski

Ale nie ulega żadnej wątpliwości, że atak zbrojny na Dardanele miał nie tylko cel militarny, lecz także dyplomatyczny: wywarcie nacisku na państwa bałkańskie, dla których kwestya cieśnin jest kwestyą wielkiej wagi, kwestyą niemal żywotną. Tymczasem i w tym kierunku spotkał Anglię i Francję zawód.



Walka o Konstantynopol: Ogólny widok Konstantynopola.

może punktem w obecnej zawierusze wojennej są Dardanele i Konstantynopol. O posiadaniu tej stolicy Bizancjum marzy od dawna Rosya, a te pragnienia stanowią jedyny cel jej polityki na Bałkanach. O panowaniu nad Złotym Rogiem marzą również i państwa bałkańskie, a wszystkie inne mocarstwa, nie wyłączając Anglii i Francji, zawsze patrzyły zazdrośnie na te aspiracje.

Obecna dopiero wojna przeniosła walkę na ten najdrażliwszy punkt polityki europejskiej. W cieśninie Dardaneleskiej zagrzmiały armaty, a Turcyja, tak skutecznie broniona przez rywalizację wszystkich mocarstw, już od kilku tygodni stacza walkę w obronie cieśniny i Konstantynopola.

Akcya zbrojna przeciw Dardanellom zaaranżowaną była na wielką skalę. Flota angielska i fran-

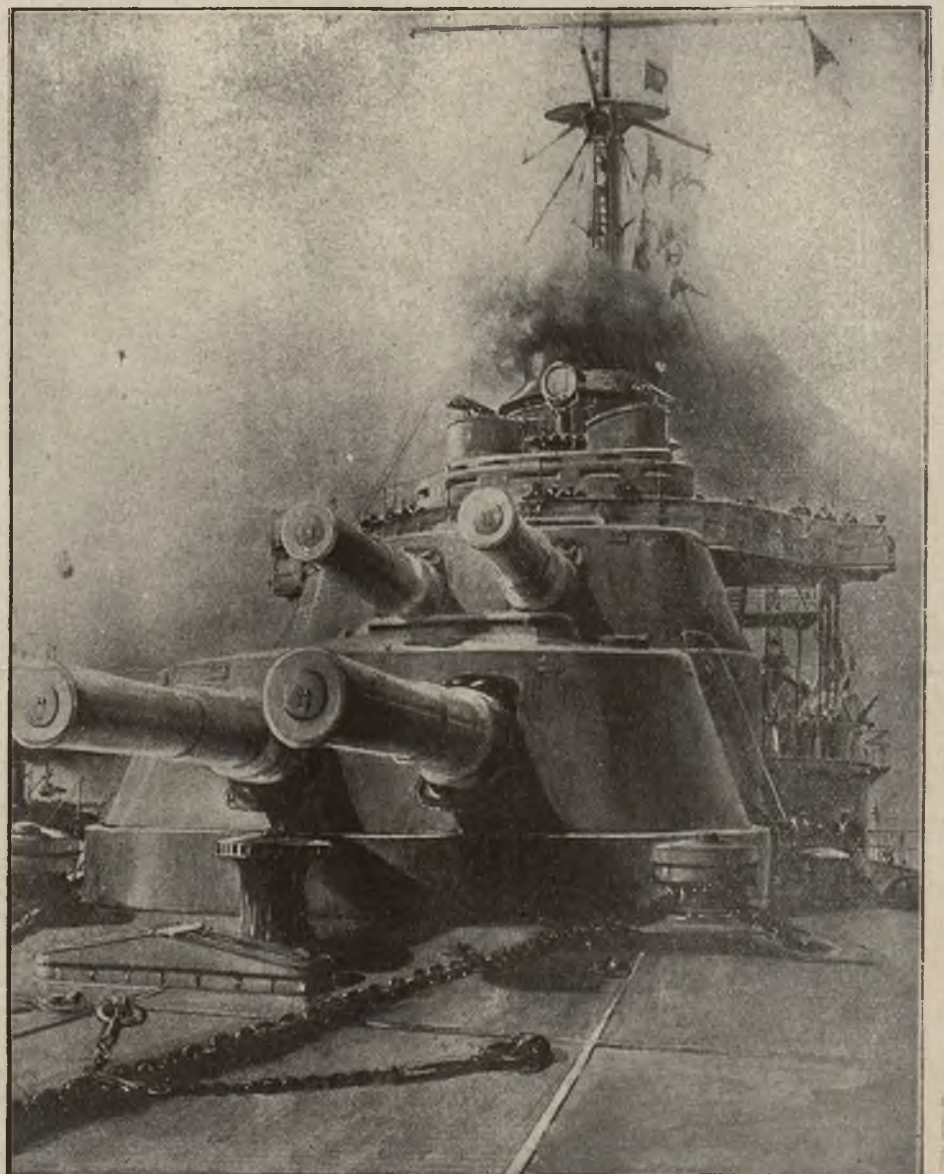
ski Limpus, który jako reorganizator floty tureckiej przed rokiem widział zaniedbanie fortyfikacji dardaneleskich i bynajmniej nie starał się o ich wzmocnienie, jednej ważnej okoliczności należycie nie wziął w rachubę, mianowicie tej, że gdy on z tego stanowiska ustąpił, pozostała w Turcyi niemiecka misya wojskowa z generałem Limanem na czele. Misya ta, jak się teraz okazało, właśnie w kierunku zabezpieczenia Dardaneli przed atakami nieprzyjacielskimi bynajmniej nie była bezczynną. Jej staraniom zawdzięcza Turcyja, że przynajmniej główne forty wewnętrzne cieśniny wytrzymały gwałtowny ogień dwustu ciężkich dział angielskich i francuskich, że sforsowanie przeprawy przez cieśninę samą tylko flotą stało się dla nieprzyjaciela jeżeli nie zupełnie niemożliwe, to conajmniej niezmiernie trudne.

Na nacisk ten nie reagowały na razie Włochy, ani Grecya i Serbia, ani Rumunia. Z jakiej przyczyny, to wyjaśni dopiero historia. Na razie jednak próba ta zawiodła tak samo, jak próba sforsowania Dardaneli. Anglia zaś nie ma zwyczaju ryzykować zbyt wiele, pragnie zawsze dopiąć celu możliwie najmniejszymi kosztami i ofiarami. Więc i w tym wypadku zarządziła przerwę w rozpoczętej akcji; korpus ekspedycyjny przewiozła do Egiptu, a flocie połączonej poleciła ograniczyć się do blokowania cieśniny i do bezustannego niepokojenia jej obrońców.

Jasnym jest atoli, że jest to tylko chwilowa przerwa w akcji, a bynajmniej nie jej zaniechanie. Świadczą o tem przygotowania do nowych prób w szerszych jeszcze rozmiarach, jakie wojskowa inżynierya angielska przeprowadza na wyspach, po-



Z teatru wojny: Francuska Legia zagraniczna ze sztandarem.



Walka o Konstantynopol: Ciężkie działa pancerników angielskich, bombardujące cieśninę Dardaneleską.

łożonych przed wylotem cieżsiny. Zanim zaś przygotowania te dobiegną do końca, dyplomacya angielska pracować znów będzie wytrwale, aby do akcji przeciw Dardanellom i Konstantynopolowi wciągnąć jeszcze inne państwa, przede wszystkim dwa najbliższe: Bułgarię i Grecję.

Cel tych zabiegów jest bardzo jasny... Gdy państwa bałkańskie wystąpią przeciw Turcyi, a więc pójdą razem z trójporozumieniem, będą mogły również rościć sobie pretensje do Konstantynopola. Tem właśnie widmem zdobytego Konstantynopola chce Anglia skłonić Bułgarię i Grecję do porzucenia neutralności. Z takiego jednak obrotu sprawy najmniej byłaby z pewnością zadowolona Rosya, która musi biernie się przypatrywać zbrojnej akcji swych sojuszników w Dardanellach.

Jakie dyplomatyczne następstwa pociągnie za sobą wszczęta przeciw Dardanellom akcja Anglii, to dopiero przyszłość okaże. W każdym jednak razie trwający już od kilku tygodni huk armat w cieśninie Dardanelskiej stanowi ważny moment w obecnych światowych zapasach — bo walkę o Konstantynopol — ten klucz do władztwa na południowym Wschodzie.

W Karpatach.

(Do ilustracji na str. 10).

Punkt ciężkości obecnych światowych zapasów przeniósł się na pogranicze Galicyi i Węgier. Ro-

nikacie sztabowym obwieszczają, że w tych walkach zdołali utrzymać dawniej zajęte pozycje, a pochód

jące wobec opinii rosyjskiej zamaskować fiasko „pochodu na Budapeszt“, szumnie roztrąbionego w nacjonalistycznej prasie rosyjskiej.

Walki w Karpatach toczyły się w warunkach dla obu stron nadzwyczaj niepomysłnych. Gdy u nas zaczyna już zwyciężać wiosna, tam zima panuje jeszcze w całej pełni. Nie tylko szczyty górskie, ale i ich podnóża i przełęcze pokryte są grubą warstwą zlodowaciałego śniegu, a gwałtowne zawieje w wysokim stopniu utrudniają operacje, zwłaszcza zaś dowóz materiału wojennego.

Mrozy, dochodzące nieraz, szczególnie porą nocną, do kilkunastu stopni niżej zera, wpływają też bardzo ujemnie na odporność żołnierza, mającego w górzystym terenie do pokonania bardzo wiele trudności, nie ostudziły przecież zapалу naszej dzielnej armii, która dokazała tu prawdziwych cudów waleczności, zasługujących na to, by przeszły do wiadomości potomnych.

Historyk, opisujący kiedyś tę prawdziwą walkę narodów, będzie miał sporo materiału do swej pracy. Obecne zmaganie się wrogich zastępów nie miało sobie dotąd równego w dziejach. Wszystkie, najzaciętsze nawet wojny, o których czytamy, są niczem w porównaniu z tą, jaka toczy się od dziewięciu miesięcy tuż pod naszym bokiem i przeważnie na naszej ziemi, a lwią część biorących w niej udział stanowią nasi bracia z pod wszystkich trzechaborów.

W niniejszym numerze zamieszczamy dwie ilustracje, nadesłane nam z terenu walki w Karpatach. Jedna z nich przedstawia jeńców rosyjskich, którzy dostali się do niewoli austriackiej, druga oficerów naszej armii, ubranych w specjalne białe płaszcze dla tem swobodniejszego poruszania się na śnieży-



Na terenie Królestwa Polskiego: Austriacka placówka.



Ze szpitali wojskowych: Grupa Polaków w szpitalu w Eferdingu (Górna Austria)

sywanie postanowili za jednym zamachem odnieść decydujące zwycięstwo i za wszelką cenę przedrzeć się na Węgry. Zamiar śmiały, ale trudny do wykonania... Dowództwo rosyjskie nie oszczędza jednak ludzi. I przez trzy tygodnie trwała gwałtowna, wprost niebywała ofenzywa rosyjska w Karpatach — ofenzywa, która nie była niczem innym, tylko masową rzezią żołnierzy rosyjskich. „W zbitych masach, szereg za szeregiem — opisuje tę walkę jeden z dzienników — postępowały hufce rosyjskie wprost na pozycje wojsk sprzymierzonych, otoczone siecią drutu kolczastego, najeżone wylotami dział i krótkimi szynami karabinów maszynowych. Dopuszczono te hufce na najskuteczniejszą odległość, poczem puszczono w ruch karabiny maszynowe kosily je, jak dojrzałe zboże. W mgnieniu oka przed pozycjami austriackimi piętrzyły się wały trupów, z poza których po chwili wylaniał się nowy szereg szturmujących i znowu padał ścięty tą straszliwą piłą, którą tworzą kule obracającego się w kącie rozwartym karabinu maszynowego. Opowiadają nawet, że pierwszy szereg szturmujących Rosyan szedł zwykle bez broni, z rękami do góry wzniesionymi — niby żywa tarca, w której grzęznąć miały kule obrońców, umożliwiając w ten sposób bezkarne zbliżenie się do pozycji następnym, już uzbrojonym szeregiem“.

Tak walczyli Rosyanie w ciągu trzech tygodni, a te niesłychane ofiary nie tylko nie doprowadziły do zamierzonego celu, ale nawet nie zdołały osiągnąć choć częściowego sukcesu. Ofenzywa rosyjska nie uczyniła żadnych postępów i rozbita się o silne pozycje wojsk sprzymierzonych.

Rosyanie przyznają się też pośrednio do poniesionej klęski w Karpatach, bo w oficjalnym komu-

w głąb Węgier nie był wcale planowany. Nie ulega jednak wątpliwości, że są to tylko wykręty, ma-



Na terenie Królestwa Polskiego: Ulica Kaliska w Piotrkowie, gdzie znajduje się główna siedziba władz austro-węgierskich.



Za waleczność: Respicyent straży skarbowej Stanisław Jedliński (X), odznaczony srebrnym medalem za waleczność, w gronie uczestników uroczystości.

stym terenie. Śnieg ma bowiem to do siebie, iż na powierzchni jego widoczne są nawet i obecnie używane uniformy polowe, trzeba więc było wynaleźć jakiś sposób, by temu zaradzić.

tować rannego, nie było mowy. Jedliński umieścił więc rannego kapitana wraz z pięciu rannymi żołnierzami na małej drezynie kolejowej i w ten spo-

Za waleczność.

W licznym szeregu oficerów i żołnierzy armii austro-węgierskiej, którzy w obliczu nieprzyjaciela okazali męstwo i przytomność umysłu, należy wymienić Stanisława Jedlińskiego, c. k. respicyenta



Z teatru wojny: Patrol Legionu w Karpatach.

straży skarbowej. Wydarł on z pod gradu kul rannego kapitana i kilku rannych żołnierzy, a tego odważnego czynu dokonał w następujących okolicznościach.

Dnia 26. sierpnia 1914 r. w bitwie pod Krasnem, po całodziennym walce, wyszli Rosyjanie nad wieczorem z okopów, udając, że się poddają. Na dane hasło zaprzestano strzelać i wezwano do złożenia broni, gdy wtem nieprzyjaciel kilkakrotnie silniejszy natarł i zasypał gradem kul szczupłą garstkę walczących. Wśród tego żniwa śmierci Stanisław Jedliński rzuca się w wir walki i ratuje kapitana 97 pułku p., Emila Holuba, ranionego kulą w brzuch. W braku innego schronienia otworzył on karabinem budkę kolejową, gdzie rannego umieścił i opatrzył mu ranę.

Tymczasem noc zaskoczyła walkę, nieprzyjaciel wciąż nacierał, a o wynalezieniu furmanki, by ra-



Z teatru wojny: Zwłoki i ruiny w zbombardowanym mieście francuskim.

sób zdołał ich szczęśliwie dowieźć do Zadwórze, skąd już pociąg sanitarny zabrał rannych do Lwowa. Obecnie Jedliński, który pełni służbę na terenie

Królestwa Polskiego, został tam odznaczony za ten dzielny i pełen poświęcenia czyn srebrnym medalem waleczności II. klasy, a uroczystość tę upamiętniono wspólną fotografią, którą przedstawia nasza ilustracja.

Koncert polski w Pradze.

(Do ilustracji na stronie 13).

Staraniem znanej byłej artystki dramatycznej p. Anny Kałużyńskiej-Freege i pianistki z Krakowa, pani Ludwicy Grodzickiej, odbył się w szczelnie wypełnionych salach Klubu polskiego w Pradze koncert na cele Bursy młodzieży polskiej. Część deklamacyjną objęła pani Kałużyńska Freege, która w sposób wzruszający do łez wypowiedziała tęsknotę za krajem i była zmuszoną przez rozentuzymowaną publiczność zadeklamować kilka utworów nadprogramowych. Dyr. Rygier ze znaną brawurą wystąpił jako przedstawiciel naszej sztuki dramatycznej. W części muzycznej wystąpiły panny I. i J. Wilkoszówny, uczennice pani Grodzickiej, okazując wiele uczucia i niezwykłą technikę, oraz panna Nenyczkówna, grająca z wielkim wdziękiem. Z gości czeskich klubu panna Kalauskówna, śpiewaczka opery, oraz pan Jan Rambousek, uczeń Szewczyka, przyczynili się swymi produkcjami do uświetnienia wieczoru, a pan Władysław Grodzicki wspaniałym tenorem odśpiewał arye Moniuszki i Zelenkiego. Akompaniament spoczywał w rutynowanych rękach pani Grodzickiej. Cała Polonia zebrana w Pradze, oraz goście czescy darzyli kierowniczkę koncertu oraz wykonawców serdecznymi oznakami wdzięczności. Dochód dla Bursy był znaczny, a Polacy-wychodźcy

w Pradze dali dowód, iż pracą swą i talentem starają się przyjść w pomoc rodakom.



Z teatru wojny: W obozie serbskim.

JÓZEF LASOŃ.

KWATERA Nr. 150.

(Ze wspomnień Legionisty).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

2

Zrozumiał to Węgier, i aby dobitniej zaznaczyć o co mu idzie, uderzył Godzika po ramieniu, mówiąc:

— Erste osioł, — na Weisa znów pokazując, dodał — drugi osioł!

Zaproponował potem, aby się z nim mocować. Rozłożono koce na podłodze, do walki stanęli: Węgier z Zarzyckim. Przez kwadrans walka prawie trwała, lecz nie została rozstrzygnięta. Zwinny był nadzwyczaj, pomimo, że bardzo silny nie był, tak, że nikt nie mógł mu dać rady. Po odpoczynku zaproponował walkę na pięści.

Wypoczywający Jelonek, obywatel z okolic Ludwinowa, zerwał się, podkasał rękawy do góry i w wyzywającej pozie stanął w pośrodku sali. Madziaro błyskawicznym ruchem zrzucił bluzę, kamizelkę, pozostał tylko w koszulce do gimnastyki.

Ułożyli się o warunki walki, tak, aby się nie uszkodzić przy tej walce pokojowej.

Godzik na palcach zaświstał, bagnetem po trzykroć uderzył o menażkę i igryzyska się rozpoczęły.

Zwinny Madziaro nagina się ciałem, nieustannie godzi pięściami w Jelonek, który flegmatycznie prawie odiera ataki i powoli przechodzi do „ofensywy“. Kilkakrotnie zwycięstwo przechylało się to na tę, to na drugą stronę, wkońcu Madziaro, ugodzony pięścią w piersi, przewrócił się na leżące pod ścianą sienniki.

Herold zaświstał ponownie, walka została ukończoną. Zwycięscy podano nagrodę: w menażce herbatę z rumem, którą wypił do spółki ze zwyciężonym.

Madziaro śmiejąc się, kiwa głową, pokazuje potężne mięśnie Jelonka, tłumacząc się, że przemęczony był i dlatego padł.

Z rozmowy wyrwał nas głos kwatermistrza:

— Baczość!

Z komendy placu obywatel Pochmarski przyszedł, odczytał wezwanie brygadiera Piłsudskiego, wzywającego żołnierzy do zgłaszania się do pułku. Potem przemówił od siebie parę słów serdecznych, zachęcając, by ktokolwiek czuje się na siłach, podążył w szeregi, gdyż walka ma się ku końcowi. Wytrwać jeno potrzeba, gdyż pobity wróg cofnąć się musiał z pod ukochanego grodu, polskiego Krakowa.

— Hurra! — zawołali, przejeżdżając tymi słowami.

— Gdzie się zgłaszać? — poczęli się pytać.

— Jutro przed lekarza. Kto zdrowy, do szeregu, kto chory, trudno, na to niema rady.

Do późnego wieczoru gawędził z nami. Czuli i myślał tak, jak i my, choć wyraźnie tego nie zaznaczył. Pożegnaliśmy go serdecznym słowem.

O ósmej godzinie Berek przeprowadził apel, odczytał rozkaz komendy głównej, poczem wyciągnięto słomę i sienniki, aby legowisko porządnie sobie usłać. Drzwi z hałasem otworzyły się i weszło kilku Piłsudczyków.

— Hej, obywatele! Będzie tu miejsce na nas!?

— Ano będzie! Chodźcie!

— A nie łazi tu słoma? — pytali się — bo na tamtej kwaterze koło pieca się położyłem, rano wstaję, patrzę, jestem koło drzwi. Klęę tedy na tego, co mi ten figel zrobił, patrzę jednakże, dalej jadę. Co to jest do cholery — myślę sobie — przecież siennik nie tramwaj, ani automobil, żebym jechać na nim mógł. Podglądam pod spód... a tu wszy... jak konie... pchają mnie z siennikiem ku drzwiom.

— Ha... ha... ha... — rozlega się śmiech na sali.

— Całe szczęście moje — kończy wesoty gość — żem się obudził na czas. Inaczej wyjechałbym z siennikiem na ulicę.

— U nas bezpiecznie — zapewniają go głosy.

— Aha, bo u was pewnie „ewakuacja“ — śmiał się — gości pod gardło i wynosi się bracie z „twierdzy“. Bez względu, czy potomstwo tam zostawia, czy nie. Ale i ja muszę zrobić w koszuli „ewakuację“, bo mnie coś laskocze po sumieniu!

Wieczorem rozpoczynało się dopiero właściwe życie kwatery. Przez dzień rozchodzili się po mieście, w wieczór na legowisko przychodzą. Co chwila do drzwi ktoś zapuka, z kartką się zgłasza z komendy na kwaterę. Ale kwatera zazwyczaj przepelniona. Z I., II. i III. pułku napływają żołnierze, zatrzymują się dzień, dwa, poczem albo do szpitala, albo przed superrewizję lekarską idą, lub też po pewnym cza-

sie wracają do pułku. Kwater tych było w Jabłonkowie kilka, oprócz szpitali, które, przyznać trzeba, nadzwyczaj starannie i czysto były utrzymywane, tylko do nich trudno było się dostać, gdyż tylko ciężko chorych i rannych Legionistów tamże umieszczano.

W tenże wieczór niebawem było przepelnienie w starym sądzie. Zamiast trzydziestu dwóch, jak przepisowo miało być, było już o dziewiątej godzinie wieczorem około czterdziestu pięciu, a jeszcze co chwila pukał ktoś do drzwi, lecz nadaremnie, bo już miejsca na stanie nie było, a cóż dopiero mówić o położeniu się wygodnym.

Rozcielono słomę na podłodze, poszczególne miejsca zajmowali żołnierze, poczem obliczono, wielu jeszcze zmieścić się może.

W kącie pod piecem, przy świecy naftowej, na tornistrze żołnierz pisze list, niezgrabnie ciągnąc ręką ołówkiem po papierze, zamyśla się głęboko.

Pod oknem grają w karty dwaj kawalerzyści, wywijają i uderzają kartami o podłogę z takim zamachem, jakgdyby płazowali nieprzyjaciół.

Madziaro koło mnie spoczął, wdaje się ze mną w rozmowę, której ciekawie inni się przysłuchują. Trochę na migi, trochę łącząc wyrazy polskie z niemieckimi i węgierskimi, prowadzimy jako tako rozmowę.

— Morgen, menażka, nach Budapeszt si... si... — (co oznacza, że jutro popołudniu jedzie do Budapesztu), wywija rękami, pokazuje ręką na południe.

Jednakże przez kilka dni ciągle zapewniał, że morgen, menażka i t. d., jednak stale siedział na kwaterze. Pytany o przyczynę tłumaczył:

— Nema menażka, nema mundur, nema marszruta, i... nema fahren.

Z takiego powiedzenia dowiedzieliśmy się, że ma brata także przy Legionach, a on jest szoferem przy sztabie III. pułku.

Rozmowę przerywa nam przybycie świeżych żołnierzy. Dwóch Legionistów i jeden żołnierz austriacki od saperów. Niema ich już gdzie ulokować. Jeden z Legionistów, to stary wiarus, Królewak, który przeżył wojnę rosyjsko-japońską, do Legionów wstąpił w Kielcach. Przyjechał obecnie z Węgier, nowinki świeże przywiózł. Pytania idą jedne po drugich, co go wreszcie zniecierpliwilo i rzekł:

— Dajcie mi spanie, pokażę wam coś!

Pod piecem ściśnięto żołnierzy, zrobiono miejsce dla wiarusa.

Zdjął mundur, poczem wyszukawszy coś w plecaku, zwrócił się ku nam:

— Na pamiątkę z Węgier przywiózłem sobie okazy.

— Jakie?

— Oto mam w tej flaszcyczce.

Mówiąc to, podniósł małą flaszcyczkę, do połowy napełnioną płynem. Ciekawi, drepcząc po głowach śpiących, którzy przebudzeni, siarczyście poczęli wyśmiać, otoczyli kołem wiarusa.

— Wiecie, co to jest?

— No!?

— Tu są wszy, które wyłapawszy na Węgrzech w bieliźnie, na pamiątkę włożyłem do spirytusu. Patrzcie, jakie duże, jak muchy.

— A bodaj was — wymyślają żołnierze — po toście nas do siebie wołali. Już my większe mieli i widzieli.

Chichot z „dziadzia“, co wszy nałapał do flaszcyczki. Weiss, trącając Liszkę w ramię i śmiejąc się, mówi:

— Ty, słuchajno! Dziadziu ma spirytus, napij się, tyś amator trunków!

Ale Liszka zaraz się odzera:

— Zgryź te orzechy, co tam pływają, to ja spirytus wypiję.

Poczynają „dziadzia“ z flaszcyczką nabierać. Nawet Sciwiarski, zwany żartobliwie „ondynarsem“, wystawia głowę z pod koca i dowcipkuje:

— Dziadziu muzeum zakłada! A tu by także ładne okazy zebrał!

Koło dwunastej w nocy, wpada z brzękiem kajdan dyabeł, z mieczem anioł i siwiutki Mikołaj, z przyprawioną brodą z konopi. To żołnierze garnizonu urządzili obchód Mikołaja, naostatek po kwaterach obchodząc.

Przy stole oparty łokciami drzemał jeden ze spóźnionych żołnierzy. Dyabeł przybliżył się ku niemu, a dobrze był ucharakteryzowany, anioł zaś gwałtownie zbudził śpiącego. Przebudzony podniósł głowę i przez chwilę nieruchomo spoglądał na otaczające go postacie. Dyabeł żgnie ku niemu widłami, ten jak nie zerwie się, jak oparzony ku drzwiom skoczył. Dopiero za chwilę przyszedł do siebie.

Wreszcie trójka, z Mikołajem na czele, wynosi się z kwatery. Rozbudzeni żołnierze, przewracając

się z boku na bok, uzerają się wzajemnie, każdy dla siebie miejsce obszerniejsze chce zdobyć.

Z pierwszego piętra dochodzą nas głosy bawiących się wspólnie oficerów garnizonu. Nocą, słychać silne słowa pieśni żołnierskiej. Znać, że ulani Beliny są, bo piosnkę słychać:

Jedzie Belina,
Płacze dziewczyna
Huzary, huzary, huzary są i t. d.

Leżymy już wszyscy prawie, lecz rozmowa toczy się dalej ożywiona. Oprócz wesołych rzeczy — poważne dyskusje o podkładzie narodowym i przyszłych dniach. Wreszcie po kolei głosy cichną — usypiają żołnierze. Cicho się robi na sali, czasem tylko niektóry przez sen coś mruknie pod nosem.

Cisza... kwatera śpi. Za oknem miarowy chód żołnierza na warcie, który budynek w koło obchodzi.

* * *

Zgoła odmienne wrażenie sprawiła Bystrzyca, wieś oddalona na północ od Jabłonkowa o jakie siedm kilometrów. Małeńka wioszczyna, umieściła u siebie podówczas batalon uzupełniający kapitana Galicy, dając żołnierzom wyborną kwaterę. Wokoło w pobliskich wioskach, jak Łomża, Gródek i wielu i innych rozmieszczono szpitale Legionów, których twórcą i duszą był doktor Bobrowski z Podgórze.

Gdy pierwszy raz do Bystrzycy przybył, prowadząc oddział maruderów i nowozaciecznych w Jabłonkowie rekrutów — wieczór był późny, zmęczony udałem się na kwaterę, nie obserwując życia polskiego żołnierza na tych kwaterach.

Ambulatoryum, lekarską salę wizyt i salę dla chorych przybywających, na razie umieszczono w nowo wybudowanym budynku szkolnym, obok którego w małej, otoczonej dokoła sztachetami drewnianej willi umieszczoną była komenda batalionu, z nieocenionym komendantem placu, ob. Gwiżdżem.

Galica, to typ prawdziwego żołnierza polskiego. Wzrostu słusznego, o szeroki barkach, swobodnych ruchach, twarzą cośkolwiek pociągłej, jasnych, troszeczkę kręconych włosach, sumiastych włosów, błękitnym spojrzeniem — ujmującą był postacią. Chociaż w tych oczach błękit przebijał, ale błękit stali: dobroci, wytrwałości, sprężyłości. Nie poniża on ci żołnierza, rzekłbym, nieraz z prostym szeregowcem przy jednym stole obiadował, przemawiał jak do równego sobie, dłoń ci, jak kleszczami ścisnął, śmiał się do ciebie żartobliwie; ale zwojuj mu co w służbie, nie wypełń rozkazów i nie staraj się być pod nim żołnierzem rozczarowski i rozumu, biada ci wówczas. Głos jego gniewny ogłuszy cię, skutki przewinienia przed oczami jasno zobaczysz i już myślisz: zgubionym. A on tymczasem, po pierwszym porywie gniewu namyśla się i skazuje cię na karę, jakiej się nie spodziewałeś: byś się poprawił! Przez tę chwilę właśnie, w której się namyśla, sonduje duszę twą: czyś ze złej woli to uczynił, czy nieświadomie. Jeśli to pierwsze — zgubionys jest, nie jego kamiennego wówczas serca nie wzruszy; jeśli to drugie, to cię uderzy w ramię dużą swoją dłońią i serdecznie, jak rodzony brat, ojciec, opiekun rzeknie: — Popraw się człowieku, bo inaczej źle będzie z tobą!

A dwa razy jedno i to samo ci nie powie. Pamiętaj ma wyborną, nie wykreścisz się, żeś nie wiedział, albo czem innym.

Prawą zaś jego ręką — to adjutant, artysta dramatyczny S. Drugiego takiego jak tenże adjutant ze świecą trzeba szukać. Z ócz jego bije energia, rozum, spryt, dobroć i uczynność. Żali co dobrego chcesz — w oczach tych znajdziesz, naciągając się jednak na serce nie da, bo tak cię świdrują te oczy, że się nie ważysz nawet kłamstwem owijać, aby coś wykołatać.

Podtatrzański gawędziarz, poeta Gwiżdż — to lewica dla kapitana Galicy. „Platzkomendant“ jak się żartobliwie śmieje z niego adjutant. Wszystkie biurowe rzeczy przez łapy jego przesługują się, co chwila kapitana za rękaw tyrpie, aby podpisać taką lub owaką sprawę.

Kolejno wszedłem i ja do wnętrza komendy batalionu. Galica oparty plecami o piec dyktował adjutantowi jakiś rozkaz. Stuknąłem obcasami, aże się skrzywił cośkolwiek Gwiżdż, zdałem raport. Skinieniem ręki przywołał mię Galica, wysłuchał cierpliwie raportu i prośby, potem palcami odwinął mi kołnierz płaszczka, patrząc na odznakę. Zrobił to tak swobodnie, że zdało mi się, jakby kolega serdeczny poparwił mi źle ułożony kołnierz.

— Cóż ja wam na to poradzę — rzekł w końcu — musicie iść do Jabłonkowa i do swojej kompanii wrócić. U mnie miejsca obsadzone, bez głównej komendy nic uczynić nie mogę.

Jednakże zostałem parę dni w Bystrzycy, a to

dzięki przyjacielowi mojemu K., który wraz z drem Bobrowskim i Wertheimem powierzona miał pieczę nad wszystkimi szpitalami, w pobliskich wsiach umieszczonymi.

Trzeba przyznać, że praca doktorska, wyężająca tu była i wyczerpująca. Ciężka jest służba lekarska w polu, ciężką jest i odpowiedzialną na kwaterach. Setki chorych przewinęło się niekiedy przez dzień, których zbadać, opatrzyć, otoczyć opieką, należyście umieścić trzeba było. Oprócz tego szczepiono wszystkich żołnierzy przeciw cholercie. Od piątej godziny rano, do dziesiątej nieraz w nocy, tłuc się bryką lub konno, zaglądać do tego i owego szpitala, zbadać choćby z pół seciny chorych. Trzeba mieć na to silne nerwy i mocne zdrowie.

Wieczór po pracy schodzili się do restauracyjki pod cmentarzem i tamże do późnej nocy gawędy się ciągnęły i dyskusye, raz lekarskie, jeśli siła była po stronie doktorów, drugi raz żołnierskie, jeśli z hukiem, brzękiem szabli, nieocenionym humorem wpadł adjutant szukający Gwiżdża, za chwilę znów Gwiżdż szukający adjutanta.

Już ci przemawiają się wzajem.

— Gwiżdż! opowiedzcie tam coś tatrzańkiego! O koniku, o św. Pietrze, Panu Jezusie!

— Adjutancie, nabierzcie ducha, rzniście jaką deklamacyjkę!

Dobroduszny zaś dr. Wertheim, wysoki jak tyka, szczupły, człek, co by ci ostatnią koszulę dał, aby ci dogodzić, chrupiąc mocnymi zębami kostkę z nieboszczki kury, patrząc jednym okiem na adjutanta, drugim na Gwiżdża, rzecze:

— Tylko się nie kłóćcie! Bo zaraz zacznę wyliczać wam wielu chorych zbadałem, gdzieś szczepił ospę, cholercę, a wiem, że to takie zajmujące, że zaraz sen was zmoży.

— Bacność! — krzyczy K. na widok wchodzącego Galicy.

Szorstko, podając rękę, przywitał się kapitan z obecnymi, odpasal zabłoconą szablę, kurtkę świsnął na ławkę, i patrząc przyjaźnie na otaczające go koło, usiadł.

— Cóż tam, doktorze? Szczepienie skończone? Batalion za parę dni odmaszeruje!

— Jutro koniec będzie! Jeszcze jedna kompania pozostaje.

Wesoło ci jest w tem kole, swobodnie, nie strzelają nadęte frazesy, pyszałkowatości ani śladu, chępliwość także znikła, boć to w takim kole siedzisz, że jakbyś z którym z tych grzechów wyruszył, zarazby mu łeb skreślił, a tybyś nos na kwitę spuścić musiał, oczy na sufit lub podłogę skierować, abyś nie patrzył im w oczy. Siedziałem w kąciaku wtulony, wsłuchując się w ten luby gwar.

Zaraz zjawiała się usługująca dziewczeczka, Ślązaczka i gwarą swoją spytała:

— Czego chcą oni?

— Oni! — śmiejąc się pyta adjutant — którzy oni?

— No oni! — pokazuje palcem.

— Mówiłem ci, nadobna Kasiu, że oni to się mówi do trzeciej osoby.

— U nas tak gadają!

Przy kolacyi Gwiżdż podtatrzańskie bajdy opowiadać poczyna, przerywane salwami śmiechu. Za-

adowolony adjutant palcami przebiera po stole, wsłuchuje się w akcent gwary huculskiej, którą Gwiżdż doskonale włada.

Późną nocą udajemy się na spoczynek. Na odchodem Galica wydaje rozkazy, przypomina adjutantowi o dwóch kompaniach wyruszających w pole, poczem serdecznie dłoń ścisnąwszy, rozchodzimy się na kwatery.

Po kilku dniach wróciłem znowu do starego sądu. Pustki tu już były. Ktokolwiek zdrowym się czuł, odmaszerował do kompanii. Pozostał tylko Kulczyk, Liszkę bowiem wzięli do szpitala na „Sziglu“, Berek i Sciwiarski, pozatem wszyscy opuścili tę kwatery. Nawet Chuderski do piekarni poszedł, aby darmo chleba nie jeść.

Zaraz z Kulczykiem odwiedziliśmy Liszkę. Willa otoczona dokoła pachnącymi świerkami i jodłami, przemieniona obecnie na szpital Legionistów. Pod troskliwą opieką doktora Kucharskiego i żeńskiego personalu, szpitalik ten był może jednym z najlepiej urządzonych. Czysto, higienicznie tu było, słowem, jak w raj. Roztworzył ramiona Liszka na nasz widok, czule przywitał. Chwalił wygodę, jaka tu była, menaż i t. d.

— Za tydzień, dwa zupełnie przyjdę do siebie — zapewniał — a potem zaraz sunę do kompanii. A z wami co?

— Ja — odparł Kulczyk — pójdę do pułku, bo z tęsknoty wytrzymać już nie mogę.

— Tak, tak, tęsknota! — odezwał się smutnie Liszka — Ona wiecznie zre. I za domem i rodziną, a najwięcej toć może za swoimi tam w kompanii. Nic tak może nie łączy ludzi, jak niedola. Żołnierza znów, wylegującego się, tak jak ja, ciągnie tam, w pole, aby w znajome sobie koło wleźć, żołnierskie w boju rozognione widzieć twarze, spluwę (karabin) ująć w łapy, nasadzić bagnet i jazda wio... wio... He... he... he...

Na drugim obok łóżku, leżący kawalerzysta z oddziału Beliny, z rozciętą gębą pałaszem, odwrócił się ku nam, poprawił ściskający mu głowę bandaż i przemówił:

— Słusznie! Słusznie! Ciągnie do pola człeka, jak wilka do lasu. Siedziałoby się teraz na koniu, ostrogą konia ubodło, szablę wzniosło w górę i za Beliną sunęło. A tak w łóżku leż, jak niemowlę w powijakach i łykaj od czasu do czasu, nowinę ulotną, co tam nasi w polu zwojowali.

Ale wiecznie czuwająca pielęgniarka, Legionistka, posłyszawszy głos ułana Beliny z drugiego pokoju, raptownie do sali wpadła, i gderając, nie pozwoliła rozwodzić się utrapionemu ułanowi.

— Prosiłam was, raz na zawsze, byście jak najmniej ruszali się na łóżku i rozmawiali. Lekarz wam zalecił spokój, a wy jak na złość...

— Ależ obywatelko! — tłumaczy — nic się nie stało.

— Właśnie, że się stało! — przerwała — gdyż obywatel ma spokojnie leżeć, tak doktor nakazał.

Ułan „zawojowany“ przez pielęgniarkę umilkł, położył pomału głowę na poduszki i posepnym okiem wodził po sali.

Rozpoczęliśmy szeptem dalszą rozmowę, w wię-

kszej części o toczącej się wówczas bitwie pod Limanową, z której głuche przychodziły wieści.

W szpitaliku na pierwszym piętrze byli już ranni z pod Limanowy, między nimi adjutant któregoś z batalionów, lecz bez pozwolenia lekarza, nie można było z nimi rozmawiać.

Ciekawość paliła mózgi żołnierskie, szczególnie tym, którzy pochodzili z tych okolic, w których wówczas walki się toczyły.

— Wiesz co? — przemówił Liszka do Kulczyka — nasza kompania operuje koło Nowego Sącza.

— Co mówisz?

— No, tak słyszałem!

— O rany! — z przejęciem Kulczyk wykrzyknął. — Jakżeby już chciał być w kompanii. Może się uda dostać do Sącza, zobaczyć, co tam stare ojczyisko robi. A choć mu już pięćdziesiątka dawno minęła, miał zamiar wybrać się na Moskala. Jakażby to uciecha dla mnie była, walczyć w moim mieście.

— Toż przecież idziesz do kompanii?

— Byleby tylko do tej samej przydzielili!

— Ależ naturalnie!

— Ba! — ciągnął dalej rozmarzony Kulczyk — toż to parada będzie. Z kompanią wkraczamy po potyczce, po walce, w Nowy Sącz, ja koło chaty mojej idę, ojciec w progę, faję kurzy, matka, siostry przed chatą, dalejże wołać za mną.

Rozgorączkował się tym obrazem, zdawało się, że stopy palą się pod nim. I Liszka toż samo myślał, gdyż głowę zwiesił smutnie i dumiał.

Pragnienie to spełniło się, gdyż obaj przeszli następnie całą kompanią pod Limanową i Nowym Sączem.

Koło okna w gorączce leżący żołnierz szeptał jakieś słowa, majaczył coś. Chwilami ręce wyciągał do góry, z spieczonych gorączką ust wyrzynać się począł słowa, dialog jakiś sam ze sobą prowadził.

Ułan kręcił się na łóżku, jakby na madejowym spoczywał łożu, od czasu do czasu westchnąwszy głęboko.

Zmierzch zapadał.

Szarzeć poczęło w pokoju, cień nocy powoli spadał na ziemię i utulał ją do snu.

I dziwnie było w cichym tym pokoju, gdy myśl pobiegła za braćmi w polu bijącymi się, dziwnie i tęskno: ni lubego gwaru trud znoszącego żołnierza, ni ostrego głosu komendy, ni huku armat i łuny pożaru... tylko spokój, posepnny jakiś i nieustannie wisząca w mózgu myśl: kto padł, a kto żyw?

— Czwarta godzina dobiega — upomniał nas głos Legionistki — proszę obywateli pożegnać chorych.

— Według rozkazu! — roześmiał się Liszka.

Zwiedziliśmy szpitalik, poczem zmierzchem już ruszyliśmy ku Jabłonkowi, układając plan na dzień następny.

* * *

Nazajutrz podzielono nas.

Jedni do pułku, drudzy do szpitala — ostatni wreszcie, do których i ja należałem (choć z bólem serca) zwolnieni zostali ze służby, jako „waffen-unfähige“.

Smutna to taka dola żołnierska!...



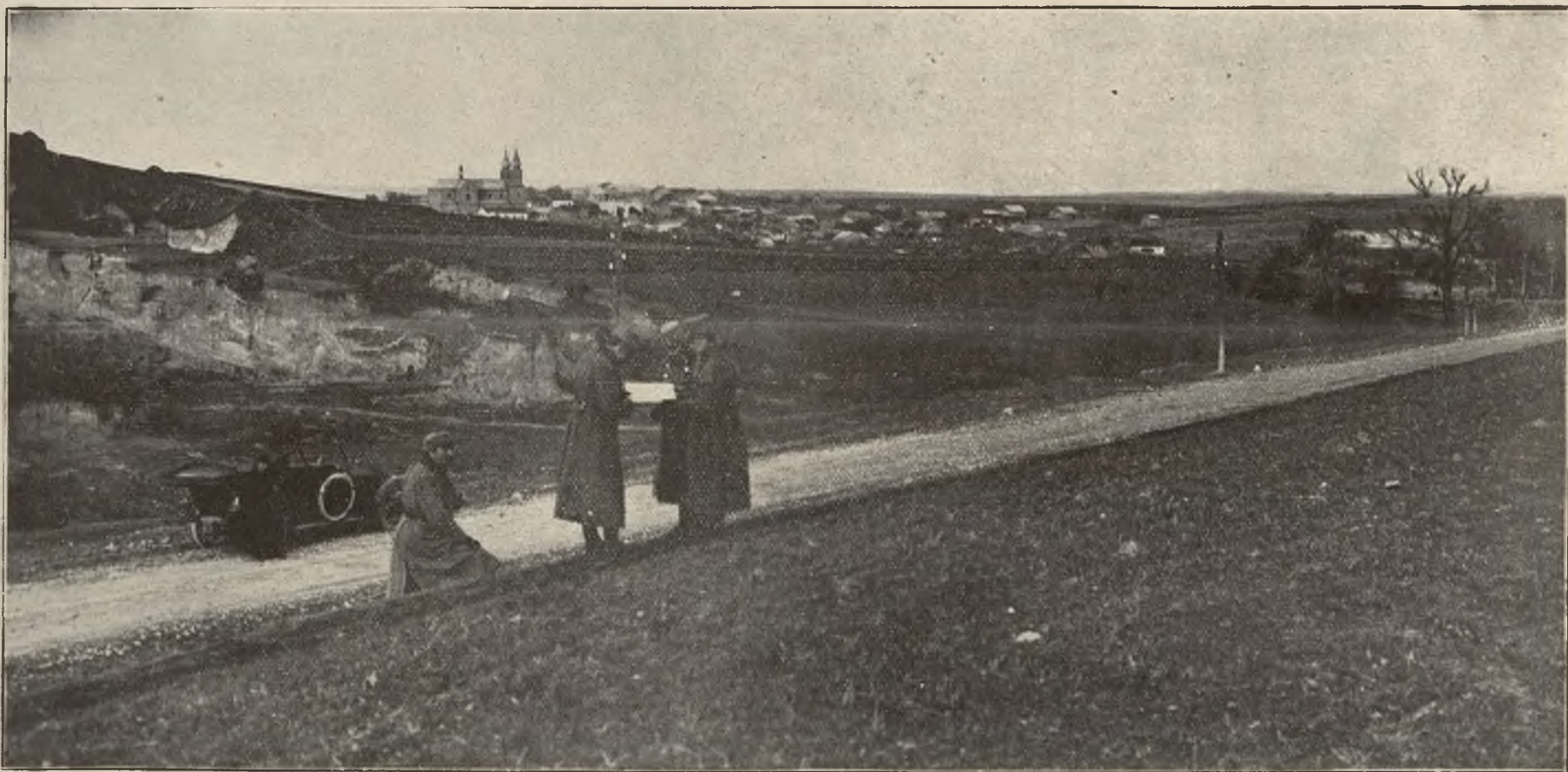
Na terenie Królestwa Polskiego.

Gdy w Karpatach odbywają się wciąż zaciekle walki, gdyż Rosyane usiłują tam za wszelką cenę, lecz bezskutecznie, przełamać front wojsk austro-wę-

mitet obywatelski — jak donosi „Dziennik Berliński” — dokonał próby obliczenia strat do d. 1. stycznia r. b. Wielka różnorodność szkód, zrządzonych przez wojnę, utrudnia wyczerpujący rachunek. Obraz ogólny przedstawia się, jak następuje:

powiaty gubernii lubelskiej i pięć powiatów gubernii chełmskiej.

Obszar ten, przez najście nieprzyjaciela dotknięty, liczy przeszło dziewięć milionów mieszkańców (73 procent ogólnej ludności Królestwa Polskiego, wy-



Na terenie Królestwa Polskiego: Ogólny widok Słomnik.

gierskich, na terenie Królestwa Polskiego zapanował względny spokój. Armie sprzymierzone zajęły silne pozycje, których zdobycie jest wprost niemożliwe. Na zajętych zaś terenie władze zaprowadzają administrację austro-węgierską i przystępują do przywrócenia normalnego życia w tym nieszczęśliwym kraju, który skutkiem niedawnych walk i ciągłych przemarszów wojsk tam i z powrotem ucierpiał może najbardziej.

Trudno obecnie mieć dokładne pojęcie o rozmiarach tej klęski. Jednakże warszawski Centralny Ko-

Z ogólnego obszaru 111.554,2 wiorst kwadratowych (126.953,37 klm. kw.), zajmowanego przez Królestwo Polskie, z górą 84.000 wiorst kwadratowych, czyli więcej niż 75 procent uległo najściu wojska nieprzyjacielskiego, służąc przytem za teren walk olbrzymich i uporczywych. Ani jedna z gubernii w Królestwie losu tego nie uniknęła. W całej rozciągłości ucierpiały gubernie: kaliska, piotrkowska, kielecka, radomska, suwalska i płocka; nadto zniszczeniu uległy cztery powiaty gubernii łomżyńskiej, dziesięć powiatów gubernii warszawskiej, cztery

noszącej 12 i pół miliona), czyli więcej, niż Belgia, Rumunia, Holandia, Szwecya z Norwegią, Bułgaria, Serbia, Dania i Grecya. Zniszczeniu uległy najbogatsze, najżyźniejsze i najbardziej uprzemysłowione części kraju, ustępującego pod względem gęstości zaludnienia tylko Belgii, Holandyi, Anglii, Niemcom i Włochom (gub. piotrkowska z gęstością zaludnienia 184,1 osób na wiorstę kwadr. — jednej tylko Belgii).

Z pośród 27.000 z górą wsi, rozrzuconych na obszarze najścia, około 5 500, czyli przeszło 20 pro-



Na terenie Królestwa Polskiego: W lesie pod Słomnikami.



Na terenie Królestwa Polskiego. Rowy strzeleckie pod Słomnikami.

cent, uległo zniszczeniu; blisko 1.000, czyli 4 procent, całkowicie strawiły pożary. Jeszcze więcej stosunkowo ucierpiały folwarki. Z liczby przeszło 10 000 folwarków w obrębie najścia — z górą 800, czyli 8 procent, jest zupełnie ruiną, około 5 000 (50 procent) uległo bardzo dotkliwemu zniszczeniu, nie uniemożliwiającemu jednak prowadzenia gospodarstwa. Folwarku zaś, któryby nie poniósł strat, w tej części kraju znaleźć niepodobna. Miast i miasteczek, które ucierpiały dotkliwie wskutek działań wojennych, wymienia Komitet Centralny w swym zestawieniu 93.

Ponieważ olbrzymia większość budynków we wsiach jest drewniana (88.2 procent), 88.5 procent

budynków wiejskich, krytych słomą, całkowicie ogniotrwałych budynków liczą wsie 1.7 procent, więc szkody w budynkach, powstałe wskutek walk artyleryjskich, są bardzo dotkliwe. Straty w zburzonych, zrujnowanych lub uszkodzonych budynkach wiejskich obliczyć można najmniej na 5 procent ich wartości. Siegają one 36 850.000 rubli. Wartość zabudowań folwarcznych na terytorium przez wojnę objętym, wynosi około 213 milionów rubli. Straty wynoszą tutaj 10,650.000 rubli.

Z 1.000 wsi całkowicie spalonych i 5.500 częściowo, wynoszą straty w ruchomościach 31,500.000 rubli. Straty własności większej w ruchomościach wynoszą 22.800.000 rubli.

Straty w koniach własności większej, licząc po 150 rubli za konia, wynoszą z górą 23,250 000 rubli, straty zaś w bydłe 34,260.000 rubli, licząc po 120 rubli za sztukę. Gospodarstwa drobne straciły



Z życia naszych uchodźców: Święcenie wieczerne w Przerowie.

w inwentarzu żywym w koniach 32,475.000 rubli, w bydłe zaś 50,920.000 rubli. W trzodzie chlewnej straty w jednych i drugich gospodarstwach wyniosły



Na terenie Królestwa Polskiego: Austriacki moździerz 30 1/2 centymetrowy, przygotowany do strzału.



Z życia polskich uchodźców: Chór polski i Kółko amatorskie wraz z Sekcją artystyczną w Przerowie po wieczorku polsko-czeskim.

przynajmniej 13,698.000 rubli, w owcach 1,466.000 rubli, licząc po 5 rubli za sztukę. Nie są tu obliczone straty w ptactwie domowym, jajach i t. p., stanowiące również pokaźne sumy.

Straty w zbożu (żyto, pszenica, jęczmień) wynoszą dla żyta, licząc po rublu za pud, 25.800.000

rubli, dla pszenicy 7,755.000 rubli, dla jęczmienia 6,300.000 rubli. Straty w zabranym owsie 26,400.000 rubli, w sianie i innej paszy 26,250.000 rubli. — Zmarnowały się też ogromne ilości słomy, zabieranej na ściółkę dla koni, na postanie i t. p. Straty w słomie wynoszą 31,500.000 rubli. Ilość ziemniaków

zabranych, niewykopanych i zmarzniętych, skutkiem rozkopywania kopców przez żołnierzy, wynosi w stratach 12,648.000 rubli. Z powodu zastoju w cukrownictwie i braku środków przewozowych zmarnowało się za 5,110.000 rubli buraków.

Zasypana przy kopaniu szaniców jałowem pod-



Z życia polskich uchodźców: Chór polski mieszany w Przerowie. W środku ks. Kazimierz Łoziński, kanonik z Bóbrki, organizator polskich nabożeństw.

glebiem, lub pokaleczona pociskami armatnimi powierzchnia straciła przynajmniej połowę swej wartości. Strata w ten sposób poniesiona wynosi przeszło 5 i pół miliona rubli. Na obszarze działań wojennych uległo zniszczeniu wskutek wydeptania najmniej 12.000 morgów zasiewów, powodując stratę 2,400.000 rubli. — Znaczne szkody wyrządzono w związku z działaniami wojennymi w lasach. Cztery

jak: krochmalnictwie, chmielarstwie, olejarstwie, ogrodnictwie, rybołówstwie i pszczelnictwie.

Tak tedy podług powyższego zestawienia Centralnego Komitetu obywatelskiego w Warszawie poniosło samo rolnictwo do dnia 1-go stycznia r. b. w Królestwie Polskim przeszło 450 milionów rubli strat. A niewątpliwie jest to dopiero początek. Walka nie została jeszcze rozstrzygnięta i olbrzy-

branych przed kaplicą w Wielką Sobotę w oczekiwaniu na poświęcenie tych darów bożych, które tego roku przyszło spożyć wśród łez na obczyźnie, a nie pod swym dachem.

Przy dzieleniu się jajkiem święconym niejedno serce ścisnął ból serdeczny, krzepiono się przecież nadzieją, że da Bóg, wkrótce już nastaną lepsze czasy, kiedy ramię przy ramieniu staniemy do współ-



Charakterystyczne typy jeńców rosyjskich.



W Karpalach:

Oficerowie armii austro-węgierskiej w płaszczach śniegowych

procent obszarów leśnych Królestwa Polskiego, a więc 158.400 morgów uległo zniszczeniu, powodując stratę 31,360.000 rubli.

Na obszarze działań wojennych ucierpiało bardzo wiele młynów wodnych z powodu położenia w miejscach obronnych, nad rzekami, stawami, przy groblach i mostach, a jeszcze więcej wiatraków, zbudowanych na wzgórzach, służących za miejsca obserwacyjne. Straty wynoszą tutaj 7,500.000 rubli, do tego dochodzi jeszcze za około jeden i pół miliona rubli mąki zniszczonej tamże lub zabranej. — Gorzelnie poniosły straty za około 2,694 000 rubli. Pominięte są straty w drobnym przemyśle rolnym,

nie, po obu stronach, armie stoją dziś naprzeciwko siebie i lada dzień rozpocznie się znów ten piekielny taniec granatów i szrapneli...

W dzisiejszym numerze dajemy kilka zdjęć z pozycyi naszych wojsk na terenie Królestwa Polskiego.

Z życia naszych uchodźców.

W poprzednim numerze zamieściliśmy korespondencję z Przerowa, malującą żywo losy uchodźców galicyjskich, rzuconych tutaj przez burzę wojenną, oraz jedną ilustrację, przedstawiającą Polaków, ze-

nej pracy, by naprawić to, co zniszczył Moloch wojny. W tem zmartwieniu jest jednak przecież i pociecha. Nie wszędzie wprawdzie, ale w większej części miejsc, dokąd losy zagnały mieszkańców Galicyi, spotkali się oni z życzliwym przyjęciem i współczuciem tamtejszych obywateli, spieszących im chętnie z radą i pomocą. Choć zdała od terenu toczącej się walki i tu przecież dają się już odczuwać jej skutki, położenie ekonomiczne staje się z dnia na dzień coraz cięższem, a skromna zapomoga, jaką rząd wyznaczył na każdą głowę, stanowczo nie wystarcza na opędzenie najpierwszych nieraz potrzeb.

Szczęśliwi, którym udało się wziąć ze sobą ja-



Z życia polskich uchodźców: Chór polski w Przerowie przed kaplicą św. Jerzego, w której odbywają się polskie nabożeństwa.

kieś zapasy w gotówce; ci, choć sami mają niewiele, pomagają biedniejszym. Zasobniejszych jednak mało, biedaków, w całym tego słowa znaczeniu, cały legion!

Jednym z miast, gdzie uchodźców galicyjskich przyjęto naprawdę serdecznie, jest Przerów. Związał się tutaj Komitet wychodźczy polski, który wraz z miejscową inteligencją czeską rozpoczął intensywną pracę dla polepszenia losu nieszczęśliwych. Wynik zabiegów był bardzo pomyślny, członkowie Komitetu zyskali sobie też ogólne uznanie i głęboką wdzięczność tych, którym niejedną łzę otarli. Do najczynniejszych należeli ks. dziekan Závřel, prezes Klimecki, dr. Hawranek, ks. Łoziński, pani Czermakowa i wielu innych, których nazwisk z powodu braku miejsca wymienić niepodobna.

Galicyjscy Polacy, przebywający tutaj czasowo, zżyli się też serdecznie z miejscową ludnością, czego dowodem był wieczorek polsko-czeski, który wypadł doskonale i przyczynił się do tem silniejszego zaciśnięcia węzłów, które powinny łączyć oba bratnie narody. Bo któż może przewidzieć, czy kiedyś znów Czesi nie zażądadą od nas pomocy?

A z pewnością im jej wówczas nie odmówimy!

Jednym z najczynniejszych stowarzyszeń polskich w Przerowie jest chór mieszany. Duszą jego jest ks. kanonik Kazimierz Łoziński z Bóbrki, organizator polskich nabożeństw dla uchodźców, odprawianych stale w kaplicy św. Jerzego, prawdziwy ojciec, opiekun i pocieszyciel wszystkich tych, którzy potrzebują jakiegokolwiek pomocy, czyto materialnej, czy moralnej. Czasowi parafianie otaczają go też

należną czcią i szacunkiem, wiedząc, ile Mu mają do zawdzięczenia.



Ze szpitali wojskowych: Grupa Polaków w rezerwowym szpitalu Nr. 11 w Wiedniu.

Ze sceny i estrady.

Znany naszej publiczności dobrze z kilkurazowych występów w Krakowie, zwłaszcza zaś z koncertu w „Starym Teatrze“ z przed trzech lat, pan Henryk Zengteller Colonna, przypomniał się naszemu miastu w ostatnich czasach swym wybitnym i pełnym sukcesu współdziałaniem w dobroczynnym koncercie, urządzonym w Teatrze miejskim przez komitet pań na rzecz ewakuowanych. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że świetny ten śpiewak, którego piękny głos tenorowy podziwiała niejedna już scena i estrada, i o którym zarówno nasza, jak i zagraniczna krytyka fachowa nie miała dość słów uznania, kształcił się sumiennie i gruntownie przez lat kilka w Me-



Z życia polskich uchodźców: Komitet wychodźczy polski w Przerowie wraz z inteligencją czeską, pracującą dla dobra Polonii, z burmistrzem drem Hawrankiem w pośrodku.



Ze szpitali wojskowych: Święcone w krakowskim szpitalu garnizonowym.



Ze sceny i estrady: Henryk Zengteller-Colonna

dyolanie, Wiedniu i Paryżu, gdzie kolejno był uczniem Arklowej, Vidal'a, Rupnika i Jana Reszkego. Po ukończeniu studyów debiutował p. Colonna na scenie w Augsburgu, gdzie w roli ks. Mantui w „Rigoletto“ zdobył sobie wstępnym bojem całą publiczność i krytykę. O rozmiarze powodzenia świadczy fakt, że nieżyjący już dzisiaj wielki dyrygent Mottl pragnął pozyskać artystę dla sceny monachijskiej. Na przeszkodzie stanęły wówczas względy narodowościowe. Potem występował p. Colonna na kilku scenach włoskich, a jego kreacja w roli Alfreda w „Traviacie“ na scenie neapolitańskiej była jednym szeregim sukcesów. W ostatnich dwóch latach koncertował p. Colonna poza Krakowem, we Lwowie, Warszawie, głównie zaś w Petersburgu, i wszędzie spotkał się z jak największym aplauzem, o czym dowodnie i wymownie świadczą głosy całej krytyki.

ODGŁOSY WOJNY.

W REZERWIE.

Z niemałą radością dowiedzieliśmy się o rozkazie objęcia pozycyi w linii bojowej i opuszczenia jeszcze dziś wieczorem wsi, w której pułk nasz stał przez kilka dni w rezerwie dywizyjnej.

I nie dziwcie się. Ta niegdyś kwitnąca życiem, zaciszna a wesoła wieś polska, z rozrzuconemi po obu stronach drogi chatami — dziś nic, prócz ruin i zgłiszczy — robiła na nas przybyszów przynębiające wrażenie.

Gdzieniegdzie pozostałe jasno pobielone chaty z błyszczącymi szybami okien, mурowany wysmukły kościółek w pośrodku płotem ogrodzonego cmentarza, odbijający z daleka słoneczny obszerny budynek szkolny, dziś opuszczony, cichy, świadczył, że wieś ta kiedyś żyła pewną własną kulturą.

Z daleka sterczący wśród powycinanych ogrodów i rozwalonych budynków gospodarskich dwór, cichy i opuszczony, rozebrane częściowo chaty i stodoły, pościnane przy drodze wierzby, walące się od pocisków armatnich bez ścian i drzwi stajnie, pola poprzecinane rowami i okopami, z olbrzymimi dołami, powyrywaniem siłą uderzenia granatu lub szrapnela, sterczące tu i tam mogiły z krzyżami z brzeziny, leżące przy drodze szkielety końskie — świadczą wymownie, że ta dziś obumarła wieś polska jest czynnym świadkiem rozgrywających się na naszej ziemi tragedyi.

Jakież smutne uczucia wywołują na przybyszu te puste śpichrze z porozrzuconymi resztkami narzędzi gospodarczych, napełnione zamiast zbożem, stosami śmieci i ogryzionych kości, te bez drzwi puste stajnie, w których rzadko tylko można dojrzeć na gołych belkach, wychudłą, więcej do szkieletu, niż żyjącego stworzenia podobną krowę, która z przestrachem ogląda się na nieproszonego gościa, jakby rzec chciała: „Nic, oprócz nędzy!”

Czarny, będący tu dziś rzadkością „burek“, nie szczeka na przybysza, ani się nie lasi, zwolniony z obowiązków stróża domu chodzi ze smutnie spuszczoneym łbem wokół pozostałych resztek, nie broniąc wstępu nikomu, bo i czegoż będzie pilnował, czy tych nagich, brutalnie obdartych ścian, czy tych śmieci, rozrzuconych przy domu?

Kościółek jeden ze spokojem patrzy w dal, aczkolwiek od kul porysowane mury, zakurzone ołtarze i przedsionki wymownie mówią, że i jego nawet nie oszczędza szalejąca zawierucha.

Mieszkańcy wsi, jakby znieczuleni tą grozą, ze spokojem przyjmują te wszystkie przejawy wojny, niszczące ich mienie i wydzierające im z rąk możność istnienia na tym łez padole — ze spokojem, przez który jednak przebija ból, rozpacz i apatya.

Teraz, gdy wszystko stracili, gdy nic im nie pozostało, prócz kawałka roli po dziadach i dwóch rąk do pracy, obojętni na wszystko, z rezygnacją czekają dalszych losów.

Nawet granaty i szrapnele, padające we wieś, przecinające w okamgnieniu swem uderzeniem pasmo szarego życia, nie robią na nich najmniejszego wrażenia, zdaje się, że ci ludzie wychudli, wynędzniali, ze stroskanem obliczem snujący się jak cień w około pozostałych zgłiszcz, straciwszy wszystko i życia sobie nie cenią.

Grobowa cisza panuje w izbach, którą przerywa tylko czasem kwilenie wystraszonego dziecka.

Przed obrazem Matki, co Jasnej broni Góry, przy barłogu raczej niż łóżku, klęczy matka w przyniszczonym kaftanie i równo z padającymi na ziemię łzami, nie modli się, a raczej skarży: „I prośbami naszemi...“, ale płacz i łkanie tłumi jej słowa. W kącie przy zimnym piecu tuli się wystraszone dziecko o pięknej, mizernej płowej główce, patrząc szeroko rozwartymi oczyma na przybysza, jakby rzec chciało: Panie, chleba! Jam dzisiaj jeszcze nic nie jadło.

Słońce zachodzić już zaczyna i jaskrawo oświetla śniegiem pokryte pola, na dworze zimno skrzy się, i tylko białe ściany kościoła dumnie świecą zdaleka.

Przed zamkniętą bramą, której szyby podziurawiły kule karabinowe, klęczy chłop starszy z przysiwioną głową w kozuchu, ręce wznosi do góry, patrząc w główny ołtarz, gdzie na krzyżu wisi Chrystus, zakurzony prochem.

Chłop klęczy jakby nieruchomy, wyblakłe oczy wdzierają się przemocą do opuszczonego wnętrza kościoła, a tylko szept cichy, żalony: „Panie, któryś cierpiał za nas rany“ jest dowodem, że ta postać klęcząca, skulona, nieśmiała, jeszcze żyje.

Nie dokończył słów, gdy granat nieprzyjacielski lecąc z hałasem, zagłuszył jego modlitwę, uderzając w resztki jego domostwa.

Po chwili słońce zaszło, wieś pokryła się zmrokiem, a w dali widać było brnących w błocie po kolana, matkę z tłumokiem na plecach, z dzieckiem na rękach i ojca prowadzącego na sznurze krowę, swój cały dobytek.

Szli do drugiej wsi, by u obcych ludzi zebrać przytułku... a chłop z przestraszonym wyrazem twarzy wciąż jeszcze szeptał: Panie, któryś cierpiał...

Przy zgłiszczach niegdyś kwitnącego i zamoznego domostwa, nie było nikogo. Burek tylko spokojnie leżał na słomie, a spostrzegłszy mnie, nieśmiało przypętał, jakby powiedzieć mi chciał, co z jego panem się stało.

Śnieg zaczął prószyć, towarzysząc nędzarzom w wędrówce, światła zabłysły w kryjówkach żołnierzy, a szrapnele i granaty hucząc przygrywały skostniałemu od zimna dziecięciu na rękach matki.

W. Zapata.



• JAK SIĘ OBCHODZONO • Z JEŃCAMI WOJENNYMI?

Zwyczaj się dziś uważać za rzecz oczywistą i samą się przez się rozumiejącą, iż u ludów bardziej pierwotnych obchodzono się z jeńcami wojennymi w sposób okrutny, obrażający pojęcia i uczucia ludzkie człowieka dwudziestego wieku. Tymczasem mniemanie takie jest najzupełniej niestusne; u bardzo wielu szczepów istniała i istnieje tego rodzaju zasada obchodzenia się z jeńcami wojennymi, że zawstydziliby mogła stanowczo niejednen szczep, chępiący się swoją wysoką kulturą i cywilizacją.

I tak wojownicy szczepu murzyńskiego „mazai“ podczas swych kampanii wojennych zabierają tylko mężczyzn jako jeńców wojennych, kobiety natomiast otaczają najtroskliwszą nawet opieką, mimo, że kobiety u szczepów tych bardzo często spełniają czynności szpiegów. Jeżeli zaś zdarzy się, że w arcywyjątkowym wypadku wzięto do niewoli kobietę, natenczas obowiązuje zwyczaj uwalniania jej drogą wykupu lub wymiany.

U Beduinów z nad Eufratu uważa się rozbrojonego wroga za świętość nietykalną; nie przyjmuje się od niego żadnego wykupu i nie uważa się go za niewolnika. Szczepy „omaha“ i „ponka“ obchodzą się ze swymi jeńcami w sposób wyszukanie życzliwy; w jeńcu szanują przede wszystkim wojownika. Po ukończonej wojnie wolno mu wracać do swej ojczyzny, przyczem nie sprzeciwia się także ich chęci i woli pozostania na miejscu niewoli, — w danym razie w sposób uroczysty przyjmuje się ich do szczepu i uważa się odtąd za swoich. Szczep kabyłłów postępuje podobnie. Szczep „wyamdolów“ pielęgnuje zwyczaj, według którego jeńiec wojenny może być adoptowany przez wojownika wyamdol-

skiego. Jeżeli jednak nie znajdzie się żaden wojownik, któryby jeńca adoptował, wówczas jeńiec taki musi okazać ochotę do biegania przez różgi. Zachowa się on podczas takiej egzekucji po męsku, natenczas znajdzie się z pewnością wielu, którzy będą chcieli go adoptować. Biada mu jednak, jeżeli okaże się tchórzem, skomlącym litości — wówczas czeka go śmierć.

W księdze prawa szczepu „nana“ powiedziano wyraźnie: „Nie zabijaj wroga swego, który się poddaje“. Podobnie głosi hinduska księga prawa, jaką ogłosił Manu w roku 1500 przed Chrystusem. — Nakaz odnośny brzmi: „Wojownikowi nie wolno zabijać nieprzyjaciela, który prosi o litość, ani tego, co się poddaje, jako jeńiec wojenny, ani spiącego, ani bezbronnego, ani spokojnego widza, ani tego, kto walczy z innymi“.

Rzecz jasna, że są także szczepy, którym obce było tak ludzkie obchodzenie się z jeńcami. W Ameryce środkowej i w Australii istniały szczepy, które jeńców swych pożerały, wierząc, że pożerając ich, dziedziczą temsamem ich odwagę i siłę. W Ameryce Północnej znów znajdowały się szczepy, które jeńców swych żywcem paliły na stosie, przyczem wyrrywano im wnętrzności. Wśród „kajanów“, żyjących na wyspach Borneo, panował zwyczaj zabijania jednego z jeńców, a to w tym celu, ażeby sprowadzić urodzaj i ziemię własną uwolnić od skutków klątwy wroga. W starym Meksyku znów na początku każdego roku składano z jeńców wojennych ofiarę bogu wody, ażeby przeciwdziałać suszy.

W studium swem o jeńcach wojennych opowiada profesor uniwersytetu budapeszteńskiego, Vambéry, że w mieście madziarskim istnieje nakaz, iż jeńców należy zabijać, ażeby poległ nie byli pozbawieni na drugim świecie towarzyszy i służby. Z Homerowskiej „Iliady“ (księga XVI.) wiadomo, że podczas uroczystości pogrzebu Patrokłosa, (który zginął pod Troją z ręki Hektora), zabito dwunastu jeńców. W Rzymie jeńców wojennych kształcono na gladiatorów.

Frydrych Barbarosa pod murami Tortony kazał wzniesić kilka rzędów szubienic, na których w obliczu miasta kazał wieszać jeńców wojennych. Władca ten kazał również wieszać zakładników, między którymi nie brakło kobiet, dzieci i niemowląt. Karol Śmiały postępował podobnie.

Jakko wyższy stopień w obchodzeniu się z jeńcami uważać można te pojęcia, według których jeńców użytkowywano do celów gospodarczych. Pierwsze ślady takiego traktowania znajdują się w księgach świętych Hindusów, które nakazują życie jeńców wojennych jako niewolników. Również i w Rzymie niewolnictwo wzrosło przede wszystkim przez zamianę jeńców, przyczem przestrzegano różnicy pomiędzy niewolnikami kupionymi a niewolnikami, uczynionymi z jeńców, przyczem z tymi ostatnimi obchodzono się zawsze znacznie łagodniej.

W traktowaniu jeńców także chrześcijaństwo wprowadziło pewne zmiany na korzyść. W siedemnastym wieku wpływ Kościoła doprowadził przynajmniej do tego, że chrześcijan-jeńców uwolnić można było drogą wykupu. A podczas wojny 30-letniej utrwałać się zaczęło przekonanie, które znalazło także swój oddźwięk w „pokoju westfalskim“, że jeńców wojennych nie należy uważać jako własność zdobywcy. Później pojawiały się jeszcze niejednokrotnie głosy przeciw ludzkiemu obchodzeniu się z jeńcami, koniec końców jednak zwyciężył człowiek. W t. zw. deklaracji brukselskiej uchwalono jednomyślnie zasadę ludzkiego obchodzenia się z jeńcami, co dokładniej określono na konferencji w Hadze. Bezpieczeństwo życia więc i dobre obchodzenie się z jeńcami wojennymi zawarowane jest prawem międzynarodowym. Czy i który z obecnie wojujących zdobywców postępował zgodnie z tem prawem lub przeciwko niemu grzeszył, czy i który z nich wziął sobie w tym wypadku za wzór postępowania wspomnianych wyżej Beduinów z nad Eufratu lub dzikie szczepy północno-amerykańskie — okaże się niewątpliwie dopiero po wojnie. Wówczas dopiero będzie można ocenić, o ile ludzką jest cywilizowana ludzkość dzisiejsza.





Koncert polski w Pradze: Anna Kałużyńska-Freege, była artystka sceny krakowskiej.



Na terenie Królestwa Polskiego: Piechota w pochodzie przez prowizorycznie zbudowaną kładkę.



Z teatru wojny: Oględziny najnowszego działą francuskiego w fabryce Creuzota.



Na terenie Królestwa Polskiego: Przeprawa przez rzekę.



Z teatru wojny: Artylerya rosyjska na Kaukazie.



Koncert polski w Pradze: Ludwika Grodzicka, pianistka.

Kronika tygodniowa.

Ponieważ w chwilach, wolnych od zajęć kronikarskich, zajmuję się czasem i szerszą polityką, aczkolwiek chwalić się tem nie lubię, postanowiła mnie Redakcja wysłać na jakiś czas do Turcji, bym tam na miejscu na własne oczy skonstatował, jak rzeczy stoją.

Miałem już wszystko przygotowane do podróży i kuferek i parasol i kalosze i paszport i fotografię i cały stos „passirszeinów“ rozmaitego koloru i treści, miałem nawet nieco gotówki w kieszeni, co się u mnie, nawiasem mówiąc, rzadko zdarza, brakowało mi przecież jednej i to, jak się potem pokazało, najważniejszej rzeczy, bez której ani myśli się ruszyć.

Spyta kto może, czego?

Brakowało mi pozwolenia mojej najdroższej Weronisi, która już dawniej powiedziała, że pozwoli mi pojechać, dokąd zechcę, nawet do ludożerców, nie zgodzi się przecież nigdy na to, bym miał się wybrać do Turków lub Mormonów, tam bowiem skompromitowałbym się z pewnością, a ona, jako kochająca żona, przystać na to nie może!

Gdym tedy onego dnia stanął przed nią i zawiadomilem o mym zamiarze wyjazdu nad Bosfor, odpowiedziała krótko, a węzłowato, nie bawiąc się w żadne wstępy:

— Wybij sobie to z głowy! Nie pojedziesz!... Mogą posłać kogo innego, ty siedź tutaj spokojnie, kiedy ci dobrze!

— Co? — zauważyłem skromnie — Mnie ma być dobrze?

— A może ci źle? Narzekaj tylko, a będziesz mieć ze mną do czynienia. Przy moim boku musi ci być dobrze! Powiedz mi zresztą, co ty tam potrafisz zdziałać między Turkami?... Co najwyżej, skompromitujesz się tylko!... Potem powiedzą, a mogą i napisać: „Przysłali nam tu jakiegoś fujare i niedołęgę!“ Turcy to ogniste chłopcy, nie takie ciepłe piwo, jak ty. Mają po kilkadziesiąt żon i dają sobie jakąś radę, a ty z jedną nie potrafisz dojść do końca!

— Ależ, koteczku! — zauważyłem — Co mają żony Turków do polityki! One tem się nie zajmują wcale i to im chwałę. Siedzą sobie w haremie, szyją, haftują, grają, palą papierosy, iskają młodych Turków, a o polityce mają takie pojęcie, jak, nie obrażając was, wy o gotowaniu!

— Tylko mi z gotowaniem nie wyjeżdżaj! Zle może wyglądasz? Gdybym cię wysłała na jaką opasową wystawę, wzięłabym z pewnością pierwszą nagrodę...

— Śmieję się z tego! Znawcy orzekliby z pewnością, że dobry mój wygląd należy przypisać raczej piwu. Wracam jednak do rzeczy. Ja tam jadę przecież w kwestyi politycznej, by wybać kierujące sfery, jak się zapatrują na sytuację.

— Bardzo to pięknie! Może się jednak zdarzyć, że któryś ze znajomych baszów, gdy do niego pojedziesz w gościnę, powie ci: „Mój drogi kronikarzu, na jakiś czas opuszczam swój dom i oddaję ci go w opiekę. Proszę, zastąp mnie i bądź tu gospodarzem!“... I cóż ty wtedy na to?

— Ba! Ale on tak może nie powie? Zresztą, myślę, chyba jakoś podolałbym swym obowiązkom...

— Oho!... Gadaj sobie komu innemu, nie mnie! Ja cię znam dobrze, żyjemy ze sobą przecież lat już trzydzieści...

— Tak! Tak!... Zdaje mi się nawet, że w tym roku powinniśmy obchodzić uroczyste zakończenie wojny trzydziestoletniej... Tymczasem skończy się obecna, można będzie połączyć ze sobą oba obchody. Wypadnie nam to taniej, a teraz ciężkie czasy!

— Nie zwracaj mi głowy obchodami! Powiedziałam, że nie pojedziesz i tak się stanie!... Potem napisały jeszcze któryś z redakcyjnych kolegów impresyjke, p. t. „Pan kronikarz u Turków“, a ludzie śmiałyby się z ciebie i pokazywali palcami!

— Byłaby jednak fotografia moja w „Nowościach“. To pochlebiłoby chyba twej próżności, że masz tak sławnego małżonka, iż go aż fotografują!... Nie macie kobiety pojęcia, jak się o to niektóre osobniki ubijają! Szczytem szczęścia dla nich, widzieć swój konterfekt odbity na papierze... Jak ongiś Ezaw za miskę soczewicy odstąpił Jakóbowi swe pierworodztwo, tak dziś za taką przysługę niejedna dama, polująca na popularność, oddałaby nawet to, czego nie ma!

— Ja tam na to nie lecę! Nie potrafisz mnie przekonać i... nie pojedziesz!...

Obróciła się, okazując mi odwrotną stronę medalu i wyszła spokojnie do kuchni, gdzie rozpoczęła zaraz handryczenie się z Kasią, służącą „do wszyst-

kiego“, o jakieś tam drobnostki, odnoszące się do domowego gospodarstwa.

Nie nadśluchiwałem, bo się na ekonomii domowej mało znam, a tem mniej się tem interesuję, zamiar podróży wraz z parasolem powiesilem przecież na kołku, przyznając w duchu rację wywiadowcom zoinym. Nie tylko Młototurka, ale nawet Staroturka nie potrafiłbym godnie zastąpić w pełnieniu obowiązków gospodarza domu, a tem mniej nadaję się na stanowisko wojskiego, zwłaszcza w tamtejszych stosunkach.

Swoją drogą przyznać się muszę, że podziwiam hart ducha Turków, którzy, mając na głowie tyle bab — mam na myśli żony i teściowe — nie tracą przecież fantazyi i rwą się nawet do wojny. Tego im zazdroszczę. Chciałbym być Turkiem, pod warunkiem przecież, jeśliby z Koranu skreślono paragraf, zakazujący używania alkoholu. W zamian za to zrezygnowałbym z owych przyjemności, jakie Koran obiecuje prawowiernym po śmierci!

Jeśli więc Szanowni Czytelnicy nie będą mieli oryginalnej mego pióra korespondencji z Konstantynopola, proszę mnie nie winić, ale moją żonę, która swem „veto“ to zdziałała. Wiadomo zaś wszystkim chyba, że „gdzie dyabeł nie może, tam babę posyła“.

Nie tracę przecież z tego powodu fantazyi, trzymając się ściśle dziesiątego przykazania sanitarnego, ogłoszonego przez fizyka miejski, które powiada: „Mimo przeciwności nie upadaj nigdy na duchu“. Rozlepiono je w wozach tramwajowych, które obecnie posuwają się jeszcze bardziej powoli, by pasażerowie przez czas jazdy mogli się ich nauczyć na pamięć.

I ja przestudowałem je należycie. Najbardziej oburzyło mnie przykazanie piąte, które powiada: „Nie przesiaduj w knajpach!“ Bardzo to ładnie tak napisać, ale proszę mi powiedzieć, gdzie w takim razie będzie się radzić nad sytuacją polityczną? Z żoną w domu o tem rozprawić nie będę, gdyż ona zna się na polityce jeszcze gorzej, niż na kuchni, a choć ma wiadomości zawsze z pierwszej ręki, takie przecież tylko, które nadeszły zapomocą telegrafu bez drutu, nazywaną się dziś pocztą pantoflową.

Niemniej zdziwił mnie ustęp, odnoszący się do tępienia różnych zwierząt, szkodliwych dla zdrowia. Fizyk powiedział im wojnę na śmierć i życie, nie wiem jednak, dlaczego zapomniał o myszach? Skoro obłożono interdyktem szczury, trzeba było to samo zastosować i do sympatycznych myszek, które również robią szkody, roznoszą choroby, co zaś najważniejsze, denerwują nasze panie, nadwyrężając ich zapasy wojenne.

Widocznie musiały postarać się myszy o protekcję w magistracie i dlatego nie pomieszczono ich na owej liście proskrybowanych, nazywanej obecnie: „Dziesięciorgiem przykazań sanitarnych“.

W dalszym ciągu owych pokojowych jaskółek, które coraz częściej pojawiają się na szpaltach pism, zamieścić muszę z obowiązku jeszcze kilka, jakie udało mi się złapać.

Przedewszystkiem więc pewien agraryusz z pod Krakowa zapewniał mnie przez cały marzec, że pokój definitywny zawarty będzie w dniu drugiego kwietnia. Jak dotąd, nie spełniło się to, nie winię go przecież, gdyż nie powiedział, w którym roku to się stanie. Być może, że z przyczyn od Redakcji niezależnych, odłożono go na maj, boję się o to przecież, gdyż miesiąc ten, aczkolwiek tak poetyczny i podniosło mnie więcej każdego nastrojający, może właśnie dlatego, jako pewien stały, ściśle określony termin nie bywa nigdy używany.

Pożycz od kogo, dajmy na to, setkę, a na zapytanie, kiedy mu zwrócisz, odpowiedź: „W maju!“... a z pewnością zrobi krzyżyk i nigdy ci się nie upomni o oddanie, chyba, gdy maj już minie. Ale i wówczas możesz mu tę samą odpowiedź powtórzyć.

Ważniejsze, że o koniec wojny zaczynają się już upominać palacze cygar *virginia* (są to zaś, jak wiadomo, sami poważni obywatele), którzy są zgniewani, iż teraz otrzymują je bez słomek. Dawniej każdy mógł sobie przetkać dziurkę słomką, ile razy mu się spodobało, dziś pozbawionym jest tej przyjemności, gdyż z powodu wojny nie przywożą z Hiszpanii specjalnej słomy, która w tym celu bywa używana.

Wysyłają więc deputację, która ma upomnieć się o ich prawa, nabyte każdym razem za jedenaście halerzy, a obecnie szpetnie pogwałcone.

Także i Niemkinie wiedeńskie zgniewały się, iż do popularniejszej kawy, przy której kują zazwyczaj bajki, nie mają bułek, ani ciasta i postanowiły postarać się o to energicznie, a na energii im pono nie zbywa, jak mówił mi pewien Wiedeńczyk-landszturmista, pełniący obecnie służbę w Krakowie.

Ten znów prosi Boga codziennie, by wojna trwała jeszcze bodaj ze sto lat, nie potrzebowałby bowiem tak prędko wracać nad modry Dunaj do swej „najdroższej“ *Kathi*...

Pokazuje się z tego, że niewiasty wszędzie są jednakie. Czy to Krakowianka, czy Wiedienka, potrafią naleźćcie zalać mężowi sadła za skórę, bo mają energię, którą radziłbym im skierować w stronę pokoju. Niech rozpoczną wspólną akcję, a nikt im się oprzeć nie potrafi. Jeśli staną ręką w rękę i nogą w nogę, a do tego „język w język“, czyż może być większa potęga?

Zresztą przepowiedni pokojowych, mniej lub więcej prawdopodobnych, nie brakuje, nadchodzą zaś przy pomocy poczty pantoflowej, mającej w każdym domu swą centralną stację zbiorczą, do której „bez drutu“ znoszą je różne Hanki, Wiktusie, Kasię i Marysie. Tutaj przerabia się je należycie, podlewa odpowiednim sosem i następnie rozsyła po wszystkich piętrach w wydaniach naturalnie rozmaitych, zależnie od humoru i przyjaznych stosunków z daną partją.

Zapytaj jednak:

— Skąd pani wie o tem? Czy pani widziała to na własne oczy?

— Widzieć, nie widziałam — odpowie ci zaraz — opowiadała mi jednak Hanusia, a ona słyszała od Wikty, która była właśnie wtedy w sklepie, gdy o tem mówił jakiś starszy pan w okularach do drugiego, młodszego.

Rozmawiałem onegdaj z jedną z niewiast, znaną z tego, iż wie, co się dzieje w całej dzielnicy, kto się z kim kłócił, kto się w kim kocha, która żona zdradza męża, a który mąż żonę, gdzie gotują na masło, a gdzie na kunerolu.

Zesłaliśmy naturalnie na politykę, to jest ona, nie ja, gdyż w żaden sposób nie chciała mnie dopuścić do głosu, a dolna szczęka chodziła jej, jak na najlepszych zawiasach.

Cały potok złorzeczenia wylała więc przedewszystkiem na głowy nieobecnych radców miejskich i prezydium magistratu, którzy, wedle jej zdania, ponoszą jedynie winę, że jest źle, kto wie nawet, czy oni sami nie postarali się o to, by wojna wybuchła, mogą bowiem na tem robić dobre interesy.

— Co też pani kochana mówi! — zwróciłem jej uwagę. — Rozmawiałem z kilku ojcami miasta i sam, na własne uszy słyszałem, jak narzekali na obecną sytuację, wywołaną wojną.

— Oho! Trzeba ich znać!... Oni tylko udają, a w duchu są kontenci... Ja tu stanowczo nie wytrzymam i wyjeżdżam do Pragi lub Wiednia!

— Nie radziłbym! Z pomiędzy miast monarchii stosunki ekonomiczne w Krakowie są jeszcze najznośniejsze.

— Widział pan nasze bułeczki po dwa centy? Niczem pigułki! A jakie czarne?... Aż rozpacz bierze!

— Widziałem! Widziałem jednak i wiedeńskie i powiadam pani, że tamte, to noc, a nasze dzień!

— To się panu tylko tak zdawało! Zresztą zapasów na wypadek oblężenia w Krakowie brak!

— Widziała pani na własne oczy?

— Nie! Słyszałam tylko na własne uszy od jednej pani, która codzień chodzi do kościoła, więc z pewnością nie skłamię!

— Otóż, muszę panią zapewnić, że jest pani w błędzie. Kraków, dzięki obecnemu zarządowi, jest zaprowiantowany bardzo dobrze. Może mi pani wierzyć, bo i ja, aczkolwiek tak często Panu Bogu się nie naprzykrzam, również z prawdą mijać się nie lubię, a zapasy i widziałem i oglądałem urzędowe wykazy... Niechaj więc pani będzie spokojną, z głodu nie pomrzemy. Skoro jednak ma pani ochotę wyjechać, nie będę się starał odwozić od zamiaru. Zostanie dla nas więcej. Baba z wozu, koniom lżej!

Przytoczyłem tę rozmowę dlatego, by Czytelnika przekonać, jakimi argumentami walczą nasze panie i na jakich danych opierają się informacje poczty pantoflowej. Każda z nich słyszała z ust najbardziej zasługujących na wiarę, nie widziała jednak żadna. Są zresztą i takie, które widziały nawet to, czego nikt inny nie widział i widzieć nigdy nie będzie...

Za tego rodzaju niepokoje opinii publicznej powinno się gadatliwe niewiasty pakować do ula, by tam mogły odpocząć po uciążliwej pracy językowej. Wówczas dopiero Kraków odetchnąłby!



Jedyny w Krakowie, Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego
 który posiada
 własny wyrób trumien **==== Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) ==== Telefon Nr. 331.**

HUMORYSTYCZNY

KALENDARZ „BOCIANA“

na rok 1915

już wyszedł i jest do nabycia we wszystkich trafikach i księgarniach.

Nabywać go też można wprost w Administracji „Bociana“, Kraków XV. Przesyłki uskutecznią się odwrotnie za nadesłaniem należności z góry, za egzemplarz 1 kor. — (50 kop.), na porto 10 hal., lub 35 hal. na porto rekomendowane. Za przesyłki nie rekomendowane Administracja nie odpowiada.

Jarzyny.

5 kilo szpinaku	kor. 3.60
5 „ czerwonej rzodkiewki	kor. 3.70
5 „ karczochów	„ 4.90
5 „ sałaty	„ 4.30
5 „ karafiolów	„ 3.80
5 „ czerwonych pomarańczy	kor. 4.20
5 „ kawy Mocca i Cuba	kor. 21.—

opłacone za pobraniem pocztowym.

Giovanni Spanghero, Tryest.

Dołączenie prospektów

do pisma niniejszego liczymy za 1000 sztuk **po kor. 20.—**

Zgłoszenia wprost do Admin. „Nowości Ilustrowanych“. Telefon 479

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.
WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patriotyczne.

Wielki wybór biżuterii francuskiej i fantazyjnej

MOZAIKI.

Prawdziwe granaty.

Wyroby rzeźbione Zakopiańskie.

Wyroby **skórzane.**

Wielki wybór **torebek** damskich.

Wielki wybór **ZABAWEK.**

Lalki

Krakowianki.

Laski i toporki.

Kartki korespondencyjne ilustrowane.

Sześć aparatów fotograficznych ręcznych w form. 6×9

(Brownie Camera Nr. 2)

do sprzedania.

Wiadomość w Administracji „Nowości Ilustrowanych“.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dniu powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Muzyka wojskowa w każdą niedzielę.

ADMINISTRACJA

„Nowości ilustrowanych“

odsprzedaje fotografie i klisze cynkowe

z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonuje wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.